

Charles D. Harness

Szachista Zeno

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Wcale nie uważam, że każdy, kto gra w szachy, musi mieć bzika. Natomiast szachiści grający stale i regularnie, powiedziałbym, nałogowo, reagują w życiu inaczej niż zwykli ludzie. Wiem coś na ten temat, ponieważ w swoim czasie byłem skarbnikiem Klubu Szachowego w naszym mieście.

Wśród naszych członków było kilka wpływowych osobistości. Mieliśmy senatora i sekretarza ważnego związku zawodowego, a także Prezesa miejscowego Towarzystwa Kolejowego „A. and Co. Ltd: oraz parę innych szyszek. Ale, dziwna rzecz, zdawałoby się, że im poważniejsze stanowisko zajmowali w życiu, tym słabiej grali w szachy. Za to mistrzem naszego miasta i stanu był mały Bobby Bater, czternastoletni uczeń gimnazjalny. Jego problemy szachowe publikowane były niejednokrotnie w „Chess i Review” i moskiewskim „Szach-Mat”. Drugim naszym czołowym zawodnikiem był Pete Summers, dobry urzędnik administracji Towarzystwa „A. and W.Co.Ltd.” Ogłosił on drukiem dwie prace, które przyniosły mu światową sławę. W pierwszym traktacie dowodził, o ile sobie przypominam, że białe mogą i powinny zawsze wygrać, a w drugim przekonywał, że czarne mogą zawsze doprowadzić do nierozegranej. Jak stąd widać, przepaść umysłowa dzieląca skromnego urzędnika od pana Prezesa „A. and W.Co.Ltd.” była naprawdę olbrzymia.

Trzecia lokalna sława, Nottingham Jones, „w cywilu”

pracownik Centralnego Biura Statystyki, nigdy nie wygrał choćby jednej partii z naszymi mistrzami, aczkolwiek reprezentował wysoki poziom gry. Sekretarzował nam już od paru lat i był organizatorem kilkunastu stawnych meczów międzyklubowych na skalę całej półkuli zachodniej, co w rezultacie przyniosło naszemu zespołowi dwukrotny tytuł mistrza Stanów Zjednoczonych, no i oczywiście spore wpływy pieniężne do naszej kasy klubowej.

To właśnie Nottingham doprowadził w dodatku w najgorętszym, rzecz można, okresie zimnej wojny - do owego słynnego meczu telegraficznego USA-ZSRR, który - jak wiadomo - skończył się sromotną porażką reprezentacji amerykańskiej.

Ostatnio dumą Nottinghama były wymyślone przez niego turnieje - skoczek kontra goniec.

Otóż szachiści, przynajmniej na naszej półkuli, uważają gońca, czyli laufra, za figurę o nieco większej wartości od konia, czyli „po szachowemu” skoczka. Pogląd ten jest tak głęboko zakorzeniony, że żaden gracz nie pójdzie dobrowolnie na wymianę własnego gońca na konia przeciwnika. Amerykański szachista jest w stanie roztrwonić ciężko zarobiony majątek puszczając się na spekulacje podejrzanymi akcjami, gotów jest kłócić się przez kwadrans o miejsce na parkingu, nawymyślać policji ze służby drogowej, a nawet zapomnieć o rocznicy własnego ślubu, ale będzie się bronił wszelkimi sposobami przed wymianą własnego laufra na konia przeciwnika.

Nottingham był przekonany, że mniemanie to jest pozbawione naukowych podstaw i że obie figury

przedstawiają tę samą wartość. Aby tego dowieść, organizował przez dwa lata szereg turniejów tak wewnątrz jak i międzyklubowych, polegających na rozgrywkach, w których jeden z graczy dysponował gońcem i sześcioma pionami, a drugi skoczkiem wspomaganym również przez sześć pionków. Co prawda, do końca nie udało się nam ustalić, czy goniec przedstawia . absolutnie większą lub mniejszą wartość od skoczka, ale w każdym razie nasz klub liczył na pewno więcej rzeczoznawców w tej kwestii niż wszystkie inne koła szachowe Stanów Zjednoczonych razem wzięte.

Już od miesiąca chciałem coś zaproponować naszemu sekretarzowi. Ale to, co miałem mu powiedzieć, było tak nieprawdopodobne, że z dnia na dzień odkładałem naszą rozmowę. Owego pamiętnego popołudnia Nottingham był w wyjątkowo dobrym humorze. Oto aby pomścić niesławną porażkę reprezentacji amerykańskiej nasz dynamiczny sekretarz zaproponował następujący mecz telegraficzny z ZSRR: dwanaście partii skoczek kontra goniec. Dzisiejsza poczta przyniosła mu list z Federacji Amerykańskich Klubów Szachowych. Zarząd Federacji wyrażał zgodę na ten projekt.

- Drogi kolego - zacząłem niepewnie - pewien niemiecki profesor, który mieszka w pokoiku tuż nad moim mieszkaniem, chciałby rozegrać turniej szachowy na kilkanaście partii równocześnie z graczami naszego klubu.

- Kilkanaście partii równocześnie? To musi być znakomity gracz.

- Właściwie mówiąc, to nie sam profesor chciałby zagrać, a jego wychowanek.

- To bez różnicy. Chodzi o to, jaka ma klasę.

- Podobno bardzo wysoką. Ale nie w tym rzecz. Wyobraź sobie, że profesor Schmidt posiada oswojonego szczura, którego nauczył grać w szachy i chciałby go nam zademonstrować.

- Cała impreza nie kosztowałaby nas więcej niż normalny występ zawodowego szachisty - dodałem po chwili. - Zresztą, co tu ukrywać! Profesor jest w nędzy i jeżeli w krótkim czasie nie otrzyma większej sumy pieniędzy albo jakiejś stałej pracy, grozi mu wysiedlenie z kraju.

Nottingham zamyślił się.

- Nie bardzo widzę, w jaki sposób możemy mu przyjść z pomocą. Przecież mówiłeś o SZCZURZE...?

- No właśnie!...

- Więc ma to być szczur grający w szachy...? Prawdziwy szczur, żywy, na czterech łapkach i z ogonem

- Ano -tak... Wyobrażasz sobie, co za sensacja w naszym klubie... Sekretarz wzruszył ramionami.

- Tyle dziwnych i sensacyjnych rzeczy można wyczytać w każdej gazecie... Ale to przechodzi wszystkie moje pojęcia! Nigdy nie słyszałem, żeby szczury interesowały się szachami. Bo kobiety na przykład zupełnie się szachami nie zajmują. Przynajmniej u nas. Ale może w Europie rzeczy się mają inaczej. Słyszałem coś niedawno o jakimś uczonym kucyku... Mniejsza z tym. Przypuszczam, że musi być bardzo sławny w

Europie?

- Bez wątpienia - odpowiedziałem śmiało. - Profesor jest znanym specjalistą w dziedzinie psychologii porównawczej.

- Nie mówię o nim - zniecierpliwił się Nottingham. - Chodzi mi o tego jego... no... tego wychowanka. Jak on się nazywa?

- Zeno.

- Pierwszy raz słyszę to nazwisko. Jakie są jego dotychczasowe osiągnięcia? Gdzie grał? Z kim wygrał?

- Zdaje się, że nie brat jeszcze udziału w żadnych turniejach. Profesor oswoił go i nauczył grać w niemieckim obozie koncentracyjnym. Nie znam jego klasy gry, ale wiem, że daje profesorowi wieżę for i wygrywa.

Nottingham Jones uśmiechnął się z politowaniem.

- To niczego nie dowodzi. Mogę z łatwością dać ci wieżę for i wygrać, a nie potrafiłbym rozegrać nawet dziesięciu równoczesnych partii.

- No dobrze - zawołałem - ale przecież Zeno jest...

- Mój drogi - przerwał mi - zrozum, że ważne jest tylko, czy Zeno rzeczywiście należy do klasy mistrzów. Mamy w klubie z pół tuzina świetnych graczy, z których każdy jest w stanie rozegrać kilka czy kilkanaście partii równocześnie w naszych miejscowych turniejach. Ale z chwilą, kiedy angażujemy kogoś z zewnątrz, i to, jak zrozumiałem, zawodowca, to ten powinien być tak doświadczonym szachista, żeby móc

zwyciężyć naszych najlepszych graczy. Zwłaszcza teraz, kiedy będziemy trenować do mojego meczu z ekipą rosyjską, nie mogę pozwolić, aby nasi mistrzowie tracili czas i obniżali swój poziom z zawodnikiem średniej czy nawet dobrej klasy. Nie mówiąc już o tym, że musimy im zapłacić za występ z naszej klubowej kasy.

- Ależ, na Boga ! Przecież nie o to chodzi !

- No tak, wiem, że Zeno jest w biedzie i że chciałbyś zorganizować dla niego mecz na dwudziestu szachownicach, oby mógł sobie zarobić trochę forsy. Niestety, nic ci tu nie mogę pomóc. Do moich obowiązków należy dbanie o dostatecznie wysoki poziom gry w klubie.

- Słuchaj chłopie! Przecież Zeno to szczur. Nauczył się grać w obozie koncentracyjnym! Zrozum...

- To wszystko nie dowodzi, że jest szachista wielkiej klasy.

Zgłupiałem, a równocześnie było mi żal starego profesora. Niejasno zdawałem sobie sprawę, że nasza rozmowa jest jakby wyjęta z jakiegoś obłąkanego filmu. Załamującym się głosem powiedziałem:

- A zdawało mi się, że to będzie znakomita reklama dla klubu... Ten profesor był przecież dręczony przez nazich...

Nottingham spostrzegł moje rozżalenie.

- Jak już chcesz koniecznie, to niech Zeno spotka się najpierw z jednym z naszych lepszych graczy..., powiedzmy z Bradleyem. Jeśli Jim uzna go za dość poważnego przeciwnika,

to zorganizujemy dla niego specjalny turniej na dwudziestu czy dwudziestu pięciu szachownicach jednocześnie.

Nazajutrz zaprosiłem Jima Bradleya do siebie. W chwilę później przyszedł profesor ze swoim pupilkiem.

Miałem już okazję widzieć Zena, ale dotychczas uważałem go po prostu za oswojonego szczura. Teraz miał mi się objawić w charakterze mistrza szachowego. Toteż kiedy profesor wyjął go z kieszeni marynarki, przypatrywaliśmy mu się z Jimem bardzo uważnie.

Zeno zaczął się przechadzać po stole wokół szachownicy, przy czym małe czarne oczki błyszczały mu jak czarne guziczki. Już po sposobie, w jaki spoglądał na rozstawione figury, po tym, jak dumnie unosił maty łebek, zrozumieliśmy od razu, że byt to naprawdę jakiś superszczur, szczurzy geniusz, prawdziwy Einstein wśród gryzoni.

- Pozwólcie mu się trochę rozejrzeć - poprosił profesor przytwierdzając pluskiewką kawałek szwajcarskiego sera do korony bradleyowskiego króla. - Zobaczycie panowie, że jego występ w klubie nie przyniesie nam wstydu.

Zeno obiegł drobnym truchcikiem całą szachownicę, z jakimś subtelnym zblazowaniem obwąchał pionki i figury przeciwnika, zmarszczył pyszczek i łakomie popatrzał na odrobinę sera widoczna na koronie królewskiej. Ale trwało to tylko momencik, bo zaraz wrócił na swoją stronę szachownicy i grzecznie czekał, aż białe Bradleya rozpoczną grę.

Jim popatrzył na nas, zawahał się chwilę, po czym wysunął o dwa pola pionka królowej.

Zeno ruszył wąsikiem - robiło to wrażenie jakby człowiek wzruszył ramionami - wziął delikatnie do pyszczka własny pionek i przeniósł go również o dwa pola, naprzeciwko wysuniętego pionka Bradleya. Jim poszedł czarnym gońcem i partia się zaczęła zwykły nie przyjęty gambit hetmański.

Patrzyłem jak urzeczony. Profesor uśmiechał się. Udało mi się w pewnej chwili odprowadzić go do drugiego pokoju.

- Jak pan nauczył go grać?

- Właściwie to nie było takie skomplikowane. Z początku przywiązywałem mu do łapki pion lub figurę i puszczałem w rodzaj labiryntu, którego droga odpowiadała ruchom danej figury, aż doszedł do króla z kruszynka chleba na koronie. W obozie nie mieliśmy sera. Potem nauczyłem go bicia, szachowania... Poprzez odruchy warunkowe... wreszcie, było to w drugim roku obozu, mógł już rozgrywać końcówki. Później... ale przepraszam pana na chwilę...

Wróciliśmy do szachownicy. To był pogrom. Bradley nie miał już hetmana i wieży. W minutę później Zeno podbiegł do króla białych, przewrócił go i zaczął łapką stukać o szachownicę. Widziałem, jak wargi profesora poruszają się, jakby liczył.

- Zapowiada mata w dziewięciu ruchach.

Jim Bradley zaciskał wargi, wpatrując się z napięciem w szachownicę. - Ma rację - odezwał się chrypliwie - w najlepszym dla mnie razie, dostaję mata w dziewięciu ruchach albo w ośmiu, jeśli nie poświęcę drugiej wieży...

Zeno już obgryzał kawałeczek sera, który zdobił upadłego króla Bradleya. Mały ogonek zwierzątka poruszał się z delikatnym zadowoleniem.

Następnego dnia zdaliśmy Nottinghamowi sprawę z rozgrywki i sekretarz zgodził się na zorganizowanie pokazu. Jednak ponieważ Zeno był graczem zupełnie nie znanym i jako taki nie mógł być reklamowany, nie podaliśmy żadnej notatki do prasy, poprzestając na wysłaniu zaproszeń do członków i sympatyków naszego klubu.

W dzień turnieju ustawiono dwadzieścia pięć stolików szachowych w podkowie w naszej wielkiej sali zebrań. Profesor przyszedł nieco wcześniej i sam zsuwał stoliki tak, aby Zeno mógł łatwo przechodzić z jednego na drugi. Potem zajął się przywiązywaniem małych kawałeczków sera do każdego króla u przeciwników swego wychowanka. Wreszcie obtarł pot z czoła i wycofał się z kręgu szachownic. Gracze i goście zaczęli zajmować miejsca, przypatrując się, jak Zeno, przebijając łapkami, przebiegał wolnym truchcikiem po zsuniętych stolikach.

Wtem zjawił się jakiś człowiek w popielatym ubraniu i położył rękę na ramieniu rozgorączkowanego profesora.

- Doktor Hans Schmidt, prawda ?
- Ja - odpowiedział nieśmiało profesor - to jest: yes, sir!
- Policja naczelna przy Urzędzie Imigracyjnym. Czy ma pan przedłużoną wizę pobytową?

Biedny profesor oblizał tylko wargi i potrząsnął głową.

- Z posiadanych przez nas wiadomości wynika, że nie ma pan żadnej stałej pracy ani osobistego majątku. Nikt też nie zareczył za pana ani nie złożył kaucji. Od miesiąca nie płaci pan komornego, a wczoraj piekarz i mleczarz odmówili panu dalszego kredytu. Obawiam się, że będzie pan musiał przejść się ze mną do komisariatu...

- To znaczy, że będę przymusowo wydalony

- Tego nie wiem. Bardzo możliwe. Profesor wyglądał jak skazaniec, któremu właśnie zarzucono pętlę na szyję. Podszedłem do niego.

- Stało się - wyszeptał. - Nie trzeba było wychodzić z mieszkania. Ale tak potrzebowałem pieniędzy...

- Ano właśnie - agent pokiwał głową. - Gdyby pan lub ktoś z pańskich znajomych mógł złożyć kaucję 500 dolarów jako gwarancję... to rząd Stanów Zjednoczonych nie musiałby się obawiać, że na niego spadnie ciężar utrzymania pana...

- Gdybym miał 500 dolarów westchnął profesor kierując się w stronę szatni - to nie zalegałbym z komornym i nie miałbym długów po sklepikach.

Miałem łzy w oczach.

- Niech pan poczeka - zwróciłem się do faceta w szarym ubraniu. - Za dwie godziny pan doktor Schmidt będzie miał kontrakt w kieszeni na występy szachowe na cały najbliższy rok.

I zwracając się do profesora zacząłem go przekonywać gorąco:

- Zeno zarobi więcej forsy, niż pan potrafi wydać. Zaraz po zakończeniu dzisiejszego turnieju Nottingham zarekomenduje pana do wszystkich szachowych klubów w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Meksyku. Pomyśl pan tylko: Zeno fenomen natury! Jedyne szczur-szachista w historii świata!

- Zaraz, zaraz - wtrącił się Nottingham - zanim go będę mógł polecić, muszę zdać sobie sprawę, jaki poziom gry reprezentuje ten wasz Zeno.

- Co się przejmujesz! - powiedziałem zdziwiony. - Już sam fakt, że Zeno jest szczurem...

Szary agent przerwał nam:

- O ile dobrze zrozumiałem, to panowie by chcieli, żebym zczekał godzinę lub dwie i zobaczymy, czy profesorowi uda się otrzymać jakiś tam kontrakt...

- O właśnie - rozpromieniłem się. Jak tylko Zeno pokaże, co potrafi, profesor dostanie natychmiast cały szereg zaproszeń na występy po całej Ameryce, od Nowego Jorku do Los Angeles,

- Dobra. Mogę poczekać.

Profesor sapnął z ulgą i pobiegł sprawdzić, jak się sprawuje jego pupilek, bo gra się już rozpoczęła.

- Słuchaj pan - zwrócił się do mnie przedstawiciel Urzędu Imigracyjnego powinniście tu trzymać kota albo nastawić dobra pułapkę. Jestem pewien, że widziałem tu przed chwila szczura.

- Przecież to Zeno - wyjaśniłem właśnie gra w szachy.

Agent wzruszył ramionami:

- Dorosły człowiek z pana, a takie głupie żarty się pana trzymają...

Ten wieczór w naszym klubie będę długo pamiętał. To było wprost coś niesamowitego. Profesor bezustannie obcierał pot z czoła i zużył wszystkie swoje chustki, tak że wreszcie musiałem mu pożyczyć własnej. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego się tak denerwuje, bo im dalej posuwały się rozgrywki na wszystkich dwudziestu pięciu szachownicach, tym jaśniej było widać, że nasz mały, dzielny Zeno należy do światowej czołówki szachowej, do klasy takich mistrzów, jak Keres, Aliechin czy Botwinnik lub nawet stary Capablancka.

Każdą z dwudziestu pięciu równoczesnych partii nasz czempion rozgrywał inaczej, stosując bądź klasyczne zagrania, bądź szereg skomplikowanych superkombinacji. Jego przeciwnicy jeden po drugim poddawali się z zaskoczonym wyrazem twarzy. Po kolei pustoszały szachownice, a przegrywający i kibice skupiali się wokół tych graczy, którzy jeszcze się opierali. Stoły, przy których siedzieli nasi trzej mistrzowie: Jim Bradley, Bobbie Bater i Pete Summers były wprost obleżone, tak że musiałem wejść na krzesło, żeby cokolwiek zobaczyć.

Pod koniec drugiej godziny zauważyłem ze zdumieniem, że Zeno, który tak ochoczo biegał z jednej szachownicy na drugą, stracił wiele ze swej zwinności i włókł się ociężale na chwiejących łapkach.

- Co się stało, profesorze? - szepnąłem cicho. - Czyżby Zeno się zmęczył?

Profesor jęknął boleśnie.

- Gorzej, proszę pana. Przypiąłem do królów takie same kawałeczki sera co zwykle. A przecież normalnie Zeno nie dostaje więcej jak trzy lub cztery okruchy sera dziennie...

Zrozumiałem. Biedno zwierzątko! W ciągu godziny zjadł już dwadzieścia dwa kawałki wspaniałego, tłustego ementalera! Brzuszek miał tak rozdęty, że z trudem sunął po szachownicy, łapiąc pyszczkiem powietrze, jakby się dusił.

Dzielny Zeno. Z pewnością miał boleści, a jednak grał dalej. Patrzyliśmy z trwogą, jak włókł się ostatkiem sił ze stołu Bradleya na szachownicę Summersa. Długo, bardzo długo zastanawiał się, wreszcie przesunął jakąś figurę i podpełzł do szachownicy Bobbie Batem. Tu oparł pyszczek na swej wieży, posiedział parę sekund bez ruchu, jakby nabierając siły, westchnął cicho, przewrócił się na bok i zasnął. Profesor był zdruzgotany.

- Trzeba coś zrobić - powiedziałem. - Niechże go pan obudzi! Profesor popchnął delikatnie szczura palcem.

- Liebschen... - wyszeptał - wach auf !

Ale Zeno przewrócił się na grzbiet i spał dalej.

W sali, gdzie tłoczyło się kilkadziesiąt osób, zrobiło się nagle bardzo cicho. I w tej głuchoj ciszy posłyszeliśmy regularny, uporczywy szmerek.

To Zeno chrapał.

Wydawało mi się, że wszyscy się odwrócili, nie chcąc patrzeć, jak profesor ujął czule swego śpiącego wychowanka i wpuścił go ostrożnie do kieszeni.

Pierwszy odezwał się tajniak z Urzędu Imigracyjnego. Widocznie spostrzegł naszą konsternację i zbliżył się do profesora.

- No cóż, panie Schmidt? Z kontraktu nici, prawda?

- Niechże pan nie będzie śmieszny - zaprotestowałem. - Oczywiście, że pan profesor zaraz podpisze umowę na cały szereg występów. Słuchaj Nottingham, ile ci potrzeba czasu na skontaktowanie się z najważniejszymi klubami szachowymi w Stanach?

- Kiedy ja wcale nie widzę możliwości zarekomendowania takiego gracza - sprzeciwił się nasz sekretarz. Przecież nie dograł trzech partii. Widzi pan, profesorze, to nie jest mistrz. Er ist ein Kleinmeister - usiłował tłumaczyć...

Nie dałem za wygraną.

- Diabła tam! To przecież nie ma żadnego znaczenia, że nie

skończył tych trzech głupich partii. Sam musisz przyznać, że gra świetnie! Dość palcem kiwnąć, a profesor zostanie zaproszony na występy we wszystkich klubach Ameryki. Ludzie będą się bili o bilety i zaproszenia. Toż to sensacja na całą półkulę!

- Żałuję bardzo - Nottingham w dalszym ciągu zwracał się do profesora - ale muszę mieć dowody rzeczywiście wysokiego poziomu gry, gry prawdziwie mistrzowskiej, a pański uczeń nie osiągnął tego, aczkolwiek przyznać trzeba, że niewiele mu brakuje.

- Ja... Ich verstehe - westchnął profesor.

- Ależ to szaleństwo - krzyknąłem i słowa moje zabrzmiały dużo głośniejszy, niż zamierzałem. - Mam nadzieję, że koledzy są innego zdania. Prawda, Jim?

Jim Bradley wzruszył ramionami.

- Trudno tak od razu wyrokować o klasie Zeno. Trzeba by przez kilka dni dokładnie przeanalizować naszą rozgrywkę, mówię oczywiście tylko o swej partii, aby stwierdzić, kto z nas jest górą. Zeno ma o jeden pion mniej, ale za to znakomicie rozwinięta pozycję strategiczną.

- Ależ Jim - powiedziałem błagalnie - chyba nie o to chodzi! Pomyśl o sensacji, jaka to powinno wzbudzić. Zeno, mały szczer grający w szachy...

- To już jest jego prywatna sprawa - odparł sucho Jim. - Ja mówiłem o grze, o SZACHACH, rozumiesz?

- A ty, Bobby? Chłopczyk zmieszał się.

- Będę musiał już chyba wracać do domu - powiedział cicho.
- Nie odrobiłem jeszcze lekcji na jutro.

- No, może już dość tych ceregieli - przerwał ordynarnie agent w szarym ubraniu. - Panie Schmidt, pan pozwoli ze mną...

- Ano trudno - wysapał profesor. Do widzenia panom.

- A oto honorarium Zena za dzisiejszy wieczór. - Nottingham wręczył profesorowi kopertę.

Profesor pokiwał głową i pocłapał za agentem. Przez chwilę stałem oszołomiony wśród wychodzących i dyskutujących ludzi, ale zaraz wybiegłem za profesorem. Spóźniłem się o sekundy, Zobaczyłem już tylko odjeżdżający samochód policyjny.

Było już zupełnie ciemno, kiedy odszukałem odpowiedni wydział Biura Imigracji. Nikt już nie urzędował. Dyżurny miał katar i nic nie wiedział. Wychodziłem z budynku, kiedy przed oczy nawinął mi się ten sam szary agent, który zabrał profesora.

- No i co? - zapytałem.

- Ach to pan? Ano nic. Odwiozłem waszego Niemca na dworzec. Pojechał pod strażą do obozu przejściowego, a stamtąd odstawią go do granicy.

- Ale gdzie go wysiedlą? - Pojęcia nie mam.

Staliśmy pod bramą. Agent popatrzył na mnie badawczo i zaczął mówić , trochę jakby do siebie:

- Dziwna historia, wie pan, z tym - waszym klubem... Ciągle mi się zdawało, że widzę małego szczura biegnącego po szachownicach, który w dodatku przenosił figury w pysku, jakby sam grał. Ale przecież obaj wiemy, że, to niemożliwe. Prawda? Przecież szczury nie grają w szachy, tylko ludzie... Ale z drugiej strony...

Patrzył na mnie wyczekująco i tarł w zamyśleniu policzek...

- Powiedz mi, pan, tak naprawdę: nie było tam szczura grającego w szachy, nie było, co?

- Nie - odpowiedziałem z goryczą. - Nie było tam żadnego szczura. Zresztą ludzi też nie było. Tam byli tylko szachiści.

przekład : Aleksander Wołowski